

Wojciech Stanisławski: Wojna kultur na regale

Oburzenie, gniew, nawet pragnienie odwetu – są to emocje w pełni zrozumiałe w obliczu zbrojnej agresji Rosji, w obliczu zbrodni wojennych, jakich dokonują na terytorium Ukrainy jej wojska i zorganizowane formacje przestępcze, w obliczu cynizmu, z jakim moskiewska propaganda tłumaczy te działania. Gdyby jednak emocje takie – a tym bardziej ich „chłodna sublimacja”, czyli mściwość – miały stać się wytycznymi dla długofalowej polityki kulturalnej czy badawczej państwa, byłaby to decyzja chybiona, nieskuteczna, kontrskuteczna i przede wszystkim – niesprawiedliwa – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Pierwszy rok wojny”.

Jest we mnie dość choleryka, by rozumieć demonstrowane przez jednych, deklarowane przez drugich odruchy *ciśnięcia precz wszystkiego, co rosyjskie*. Te transmutacje emocji są proste niczym w podręczniku chemii dla szkoły podstawowej: współczucie przechodzi w rozpacz, rozpacz w połączeniu z bezsilnością daje gniew, który nie do końca sublimuje w udział w zbiorce na ukraińskie ofiary wojny. I ile czasu można pikietować ambasadę patrząc w jej ślepe, nieumyte okna?

Stąd desperackie gesty oburzenia. Znam takich, którzy przestali czytać Brodskiego i takich, którzy nie oglądają już wideoklipów zespołu Leningrad. Nikt, kto władał rosyjskim, nie zaczął jeszcze zapominać tego języka, zbyt cenna jest możliwość porozumiewania się z rosyjskojęzycznymi Ukraińcami, lektury opozycyjnych wpisów na

platformie Telegram czy choćby pośmiania się z rantów kremlowskich propagandystów, ale wątpię, by w najbliższych latach w szkołach średnich uruchamiano klasy z rosyjskim jako drugim językiem obcym.

Lekcja nielubianego języka

Lekcje rosyjskiego – to *nota bene* przykład pola, gdzie indywidualne emocje i wybory splatają się z decyzjami władz. W ubiegłym roku szkolnym rosyjskiego jako języka obcego uczyło się ok. 200 tys. dzieci i MEiN nie zapowiedział na razie zmian w tej kwestii: mogą sobie zresztą wyobrazić, że jest ona regulowana z uwzględnieniem zasady podaży i popytu.

Oczywiście, pewne gesty polityczne są potrzebne: doskonale rozumiem stanowiska MKiDN z pierwszych dni marca ub. roku, kiedy to zaleciło instytucjom kultury „wstrzymanie się od wszelkiej współpracy z przedstawicielami świata kultury Federacji Rosyjskiej”. Takie ostrze, uruchomione na poziomie państwa, zawsze tnie odrobinę za grubo, odcinając od występu i publiczności zagubionego, Bogu ducha winnego pantomimistę z Tuły czy mistrzynię wiklinowego plecionkarstwa abstrakcyjnego z Sołwyczegodska – gest taki jednak potrzebny był zarówno wobec doświadczających najazdu rosyjskiego Ukraińców, jak i jako niezbędne zaznaczenie dystansu wobec wszelkich instytucji (również kultury) finansowanych przez Kreml.

Znacznie bardziej zastanowiło mnie kolejne zdanie komunikatu ministerstwa z 2.03.2022, w którym wobec zbrodni wojny na Ukrainie zdecydowanie zalecono „powstrzymanie się od prezentacji dzieł

kultury rosyjskiej i rosyjskich twórców”. To znaczy – rozumiałbym je na poziomie jednorazowego odruchu, potrzeby wyrazistego i szeroko odnotowanego gestu. Takie teatrum razi czasem swoją dosłownością, ale należy do decorum polityki i jest jednym z jej języków, podobnie jak ceremoniały z udziałem pomników, kompanii honorowych i wieńców żałobnych o różnych, regulowanych protokołem dyplomatycznym średnicach.

Podobnie zresztą najwyraźniej myślało wielu szefów placówek kultury w Polsce, co powinno zmiękczyć dyżurnych krytyków ministerstwa: dyrektor Opery Narodowej Waldemar Dąbrowski odwołał w ubiegłym roku kwietniową premierę „Borysa Godunowa”, władze Filharmonii Szczecińskiej zrezygnowały z umieszczenia w repertuarze Czajkowskiego i Rachmaninowa, zaś dyrektor artystyczny Filharmonii Narodowej Andrzej Boreyko, swój występ w Mediolanie z Orchestra Sinfonica di Milano Giuseppe Verdi w marcu 2022 r. rozpoczął od hymnu narodowego Ukrainy zagranego zamiast „Marsza słowiańskiego” Czajkowskiego (informacje te czerpię z artykułu red. Jacka Marczyńskiego „Muzyka nie na ten czas”, zamieszczonego 02.03.2022 na łamach „Rz”).

Instytucje kultury zatem – nie. Współcześni artyści i wykonawcy, nawet, gdy prezentują treści apolityczne – nie. Opery rosyjskie, a nawet utwory tak przepojone współczuciem dla ofiar wojny, jak Symfonia „Babi Jar” Dymitra Szostakowicza (wypadła z programu ubiegłorocznego Festiwalu Beethovenowskiego) – nie. No dobrze, a co dalej?

Pytanie o stosunek do kultury rosyjskiej nie jest bowiem, tak naprawdę, kwestią współpracy z rosyjskimi instytucjami (tu sprawa jest oczywista) czy popularyzacji artystów rosyjskich w horyzoncie kilku miesięcy. Ani nawet, choć nie jest to bez znaczenia – decyzji o finansowaniu przekładów i nakładów. Wiadomo, ani budżety grantów ministerialnych, ani, co może bardziej istotne, wydajność wydawnictw i percepcja czytelników nie są z gumy: jeśli w perspektywie roku czy trzech ograniczona zostanie, za sprawą decyzji budżetowych czy strategicznych, liczba wysokonakładowych publikacji książek, płyt, albumów artystów rosyjskich – może to stanowić szansę dla zwiększenia w Polsce rozpoznawalności kultury ukraińskiej, białoruskiej, gruzińskiej czy ormiańskiej (może też być jednak i tak, że serie wydawnicze upadną, tłumacze i wydawcy przejdą na zasiłek, a fani rosyjskiej prozy przerzucą się na Netflix).

Łubok na cenzurowanym

Kluczowe pozostaje jednak pytanie o to, czy kultura rosyjska (jako pewne uniwersum treści, na które składają się nowogrodzkie *łuboki* ryte na korze brzozonej, wideoklipy „Leningradu”, rysunki satyryczne Andrieja Bilżo, oraz dyżurni Dostojewski i Czechow) w sposób immanentny – nawet jeśli sekretny i rozproszony – zawiera treści, które mogłyby stanowić przesłankę, zachętę lub usprawiedliwienie dla rozpoczęcia obecnego najazdu na Ukrainę – oraz licznych wojen zaborczych, rozpoczynanych przez Rosję w przeszłości. To w trybie zdania wielokrotnie złożonego, w trybie nagłówka prościej byłoby napisać: „Czy kultura rosyjska jest imperialna?”.

Jest to pytanie podchwytliwe – i to dla wielu powodów, z których wymienić można co najmniej dwa.

Konflikt ten jest dla rządzących Rosją elit (ale i dla istotnej części „zwykłych Rosjan”) zmaganiem o utrzymanie nienaruszonej pozycji Rosji (i wizji Rosji) jako imperium, jako centrum „ruskiego miru”

Pierwszy to fakt, że obecna agresja na Ukrainę nie jest przecież jedną z wielu eskapad – ot, „małą zwycięską wojenką” (by sięgnąć po logium z roku 1904), rozszerzeniem protektoratu na chanat Buchary czy podbojem Finlandii

w 1939. Paradoksalnie, w tej kwestii spotykają się (choć wypowiedane niejako z odmiennym znakiem) opinie większości polskich i zachodnich obserwatorów rosyjskiej polityki i strategii wojennej oraz deklaracje Kremla: konflikt na Ukrainie (dawno już minął czas żartów z „trzydniowej operacji specjalnej”) jest kluczowy nie tylko dla prestiżu Rosji, dla jej statusu geopolitycznego, oceny jej siły militarnej oraz (w swych konsekwencjach) dla jej demografii, gospodarki czy politycznego ładu wewnętrznego.

Konflikt ten jest również dla rządzących Rosją elit (ale i dla istotnej części „zwykłych Rosjan”) zmaganiem o utrzymanie nienaruszonej pozycji Rosji (i wizji Rosji) jako imperium, jako centrum „ruskiego miru”. Rosyjskie elity zdają sobie sprawę, że pełna suwerenność Ukrainy (włącznie z wyborem odmiennych od Rosji szlaków rozwoju,

sojuszy międzynarodowych, trybów modernizacji) spowodować musi dekompozycję tego „ruskiego miru”, zarówno rzeczywistą, jak symboliczną. To są konstatacje znane, wielokrotnie przywoływane podczas mijającego roku – sięgam po nie, by pokazać szukania związków między decyzjami politycznymi i militarnymi Kremla a tym, co wiek temu nazwano by pewnie, staroświecko „duchem Rosji”, a co dziś usiłujemy poznać przez odczytywanie jej kultury.

Falszujący trubadurzy

Po wtóre – ponieważ nawet powierzchowna ocena dorobku kultury rosyjskiej pokazuje, jak znaczny odsetek jej twórców był zaangażowany w rozszerzanie „ruskiego miru”, w powiększanie granic imperium i legitymizowanie jego panowania – zarówno na poziomie „zaangażowania fizycznego”, w szeregach wojska czy korpusu urzędniczego (to pewnie jeszcze najłatwiej wybaczyć z perspektywy wieku lub dwóch), jak formułowanych wprost pochwał rosyjskiego oręża („dobliestnyje russkije woiska”) oraz rosyjskiego/sowieckiego panowania. Jak wreszcie – to najważniejsze – tworzenia „głębokiej narracji” ukazującej korzyści, dobrodziejstwa i konieczność rosyjskiego panowania. Tego wątku też nie rozwijam szerzej, nie chcąc powtarzać racji, które zostały zaprezentowane w klasycznej pracy prof. Ewy Thompson „Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm” (Universitas, 2000).

Do tych dwóch zjawisk dodać należy trzecie: całą otoczkę propagandową towarzyszącą od roku rosyjskiemu najazdowi na Ukrainę, ale obecną przecież lata wcześniej w relacjach Moskwy z Kijowem – i dalibóg, przecież nie tylko z nim. Całą tę czasem toporną,

czasem finezyjną, niemal zawsze jednak uderzająco spójną i zmasowaną promocją „wielkiej kultury rosyjskiej”. Często skondensowanej do kilku haseł, ale czy mniej przez to skutecznej? Dostojewski. Czechow. Puszkina (również Vodka Pushkin). Balet, Jezioro Łabędzie szczególnie. Bałałajki, śpiew. I „Pławienie czerwonego konia” Kuźmy Pietrowa-Wodkina, idealne na plakatową reprodukcję nad tapczanem.

Tyle, że... Zaryzykowałbym tezę, że źródłem szczególnego dyskomfortu, szczególnego dysonansu poznawczego jest nie samo doznanie rosyjskiej przemocy, brutalności czy prymitywizmu doznawanych sauté, w stanie czystym. Takie doznanie jest oczywiście doświadczeniem niezwykle mocnym, czasem – nawet jeśli nie ostatnim w życiu – kluczowym dla postrzegania świata, a Rosji w szczególności. Nie rodzi jednak dysonansu poznawczego. Misza Zubow, ów „oficer Armii Czerwonej” wkraczający w 1939 roku do Wilna szukający tam, daremnie, woszebijek na dworcu i z rozkoszą zlewający się odiekołonom, najdoskonalsza kreacja literacka Sergiusza Piaseckiego, budzi najpierw rozbawienie, a po lekturze końcowych rozdziałów książki – zgrozę, w odbiorze jego postaci nie ma jednak miejsca na rozdzwięk: Misza-prostaczek, wszystko jasne.

Brzoza rozdarta

Dysonans poznawczy pojawia się u osób, które rzeczywiście doświadczyły wielkości i potęgi kultury rosyjskiej. I nie potrafią pojąć, w jaki sposób taka kultura może rodzić takie czyny: nie potrafią – na tym przecież polega dysonans – pogodzić doznań z dwóch krańców spektrum: zachwyty i gniewu.

Stąd przecież wziął się jeden z najświetniejszych wierszy Hemara,
„Koncert Armii Czerwonej”:

*To muzykalna armia,
z Londynem jej nie mierzcie,
Trzeba wam było słyszeć
Ich koncert w Budapeszcie!*

*Z czołgów – trach! z cekaemów
Po oknach – trach! po roletach,
Po widzach, po słuchaczach,
Po dzieciach, po kobietach...*

*I śpiewali! Z zachwytu
Ludzie jak muchy marli.
Nie można się było oprzeć.
Węgrzy się nie oparli.*

*To muzykalne wojsko.
Kto słyszał w brzozowym lasku,
W Katyniu jak śpiewali,
Wśród kul bzyku i trzasku...*

Stąd – wiersz Janusza Kotańskiego, jeden z tych, które towarzyszą mi
od ponad 30 lat, z jego pierwszego, wydanego w 1991 zbiorku:

*obrzydzenie Sowietami
ich przewrotną podłością
bezczelnym kłamstwem*

*(...)
udawaniem że
nic się nie stało
nadaniem statkowi
oceanicznemu
imienia poetki
Anny Achmatowej*

Stąd – nagradzany na Zachodzie plakat Maksyma Palenko, grafika z wioski pod Dniepro (d. Dniepropietrowsk), w różnych źródłach zatytułowany „Więźniowie” (Prisoners) albo „Bucza”: na złożonym z dziewięciu pól *panneau* widnieją we współczesnych mundurach rosyjskich: Dostojewski, Lermontow, Michaił Bułhakow, Brodski, Jesienin, Wysocki, Lew Tołstoj, Wiktor Coj i Aleksander Siergiejewicz Puszkina. Aleksander Siergiejewicz dostał chyba lekko odłamkiem, ma na czole zakrwawiony bandaż, hrabia Tołstoj jeszcze w kwiecie wieku, czarnobrody, Brodski już z zakolami, wszyscy jednak rozpoznawalni na pierwszy rzut oka. I stąd prosty, stworzony ewidentnie na eksport, reprodukowany co i raz mem: tancerka z „Jeziora Łabędziego”, zwiewna i biała, sfotografowana w skoku szpagatowym i wfotoszopowana, jak frunie nad rumowiskiem między resztkami dwóch wysokościowców – chyba Charkowa? I podpis: „Russian culture”.

„Zbada, jakie znaczenie miał Linz...”

Tak: czytanie Brodskiego (względnie słuchanie Coja) i patrzenie na chaos Charkowa rodzi rozpacz – i doznanie rozszczępienia, z którym bardzo ciężko jest funkcjonować. Warto by wybrać coś po męsku. Strząsnąć z siebie przywiązania, które były złudą. Za kim jesteś – za Antygoną czy Kreonem? Brodskim czy Buczą?

Zachód doświadczał już takich dylematów. A najmocniej – po ostatniej wojnie światowej. Czy nawet już u jej zarania.

*Ścisła wiedza odłoni tło
I wygrzebie spod ziemi kontury,
Tej transgresji od Lutra do dziś -
Która w obłęd wpędziła kulturę,
Zbada, jakie znaczenie miał Linz,
Z jakiego imago się wyklął
Nasz bóg, psychopata ponury*

To oczywiście Auden i „1 września 1939 roku”, tu w przekładzie Stanisława Barańczaka. Ale przecież pytanie o to, czy było coś szczególnego w tym korpusie pism, kazań, grafik, oper i przekładów Homera, „Simplicissimusa” i „Tkaczy”, ruchu Wandervogel i ciemnego baroku, co ostatecznie w obłęd wpędziło kulturę, zadawały sobie setki myślicieli – i to zanim w wydawnictwach ukazujących się w Polsce Ludowej wprowadzono nieformalny nakaz pisania słowa „Niemiec” z małej litery, a Ilia Erenburg, smakosz dobrych tytoniów, nostalgik włóczęg z Picassem po Montmartrze, nie zawył „Niemcy nie są ludźmi.

Jeżeli zabiłeś jednego Niemca, zabij drugiego. Zabij Niemca! – o to prosi ciebie twoja stara matka. Zabij Niemca! – tak woła ojczysta ziemia. Nie strać żadnej okazji! Nie oglądaj się na nic! Zabijaj!”.

A w tropieniu tej transgresji, tego aliażu napięć i nadziei, które w obłęd wpędziły kulturę (lub – część tej kultury, najmocniej słyszalny spośród jej głosów, zwłaszcza, gdy innym nakazano milczeć) najdalej zaszedł Tomasz Mann w „Doktorze Faustusie”: jednym z najdoskonalszych dzieł XX-wiecznej kultury niemieckiej.

I tytułem konkluzji to właściwie tyle, bo reszta, obawiam się, należałaby do komunałów.

Kto chce wykreślić Rosję?

Z pewnością komunałem jest teza, że znajomość kultury rosyjskiej – nie na poziomie wikipedycznej erudycji, lecz głębokiego rozumienia jej kodów, nawiązań i napięć – jest niezbędną dla rozumienia Rosji. To zaś jest nam, czysto pragmatycznie, niezbędne do funkcjonowania Rzeczypospolitej. Słowa Józefa Czapskiego sprzed przeszło pół wieku („Nie chodzi o to, czy Kocham Rosję, czy jej nienawidzę. Chodzi o to, że wykreślić jej z historii żaden Polak nie zdoła”) zachowują ważność – i nie jestem tak nieuczciwym polemistą, bym swoim oponentom (czyli entuzjastom rugowania „rosyjskich tworców kultury” z bibliotek i filharmonii) zarzucał intencję anihilowania Rosji. Nie-anihilowaną zaś Rosję zawsze trzeba będzie rozumieć – i to tyle, jeśli idzie o pragmatykę.

Nie chcę jednak kończyć tego tekstu konkluzją godną podoficera przygranicznej rozszereki („Kupcie kilka miejscowych gazet, jakiś zbioręk dowcipów i podręcznik do historii dla szkoły powszechnej, żebyśmy wiedzieli, jak myślą”). Wydaje mi się, że u podłoża sporu o nasz stosunek do kultury rosyjskiej w obliczu inwazji na Ukrainę leży mało polityczne pytanie o naturę „dziedzictwa kulturowego”: czy bardziej przypomina skałę typu spągowca czy brekcji, gdzie ziarna różnej wielkości (żwir, otoczaki, głązy, czasem ostre okruchy skał) pozostają osobne, choć pod ogromnym ciśnieniem i za sprawą spoiwa połączone w jeden twór – czy litą, jednorodną niemal skałę w rodzaju bazaltu?

*Komunałem jest teza, że
znajomość kultury rosyjskiej –
nie na poziomie
wikipedycznej erudycji, lecz
głębokiego rozumienia jej
kodów, nawiązań i napięć –
jest niezbędna dla rozumienia
Rosji*

To znakomity temat
na długie rozmowy,
toczone w letnie
popołudnie na
werandzie, z
obfitością konfitur i
pełnym samowarem
– bo przecież nie
sposób udzielić z
marszu
jednoznacznej,
rozstrzygającej

odpowiedzi. Co do mnie, patrząc na te dwie hipotetyczne próbki skał, zachowuję, jak zwykle, przekonanie o indywidualnej odpowiedzialności każdego twórcy. Każdego zresztą człowieka – i bardzo możliwe, że na moje przekonanie wpływa głęboka niechęć do kategorii „odpowiedzialności zbiorowej”, którą ktokolwiek ponosić miałyby za współwyznawców, współplemieńców, współpigmentowców (to ostatnio

znów modne w Stanach) czy krewnych. I, zupełnie jakbym siedząc na werandzie, leniwie dłużał łyżeczką w *kuliczu*, czyli rosyjskiej babie wielkanocnej – sięgam po tych artystów, te wiersze, które mówią coś istotnego i nowego o doświadczeniu ludzkim. A robię tak, gdyż tak mi się podoba.

A tych rodziników, tych artystów osobnych – jak drzew w tajdze.

Są wśród nich ci, którzy mówią coś absolutnie nowego i niepowtarzalnego – kosmopolitycznie – o człowieku: jego miłości, rozpacz, śmierci, wierze lub niewierze. Którzy przekroczyli granice konwencji lub języka, oszczepnicy na wielkich łowach. Kilku z nich – kilku z tysiąca – przywołał w tych dniach jeden z najznakomitszych badaczy kultury rosyjskiej we współczesnej Polsce, Piotr Mitzner, w zbiorze szkiców „Rosyjski kwadrat” (Wydawnictwo Convivo, 2022). Kruczonych. Malewicz. Cwietajewa. Charms. Czechow. (Czechow!!!)

Są ci, którzy (z rozpaczą) usiłowali powiedzieć coś absolutnie nowego i niepowtarzalnego o człowieku w Rosji: człowieku u stóp Jeźdźca, człowieku w futerale, człowieku przemienionym w wieprza – z mocą i z wiedzą, z jaką Tomasz Mann pisał o Adrianie Leverkühnie. Kilku z nich – kilku z tysiąca – można przywołać od ręki, nawet nie odwracając wzroku, by zerknąć na „rosyjski regał”. Tołstoj. Sałtykow-Szczedrin. Turgieniew. Georgij Władimow. Wasilij Aksionow. Siergiej Lebiediew. Czechow. (Czechow!!!).

Oczywiście: w mocy pozostawać będzie pytanie, dlaczego ich teksty, ich przestrogi, ich *compassio* dla *stradajuszcziogo cziełowieka* nie wpłynęły na zachowania bandytów z 64. Samodzielnej Brygady Strzelców Zmotoryzowanych 35. Armii Wschodniego Okręgu Wojskowego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, którzy dokonywali tortur, gwałtów i egzekucji w Buczy (co nie znaczy, że nie można zastanowić się również nad wpływem lektur szkolnych – Mickiewicza, Słowackiego, „Szkieł węglem”, „Wesela”, ba, może nawet „Kamieni na szaniec” – na absolwenta XXIX LO, maturzysty z 1969, kpt. Grzegorza Piotrowskiego). Lub: czy są w ich tekstach frazy, które – odtworzone 1:1 lub zmiksowane w jakiejś diawoliadzie tak, że niczym już nie przypominają oryginału – mogły, wymacerowane i dodane do wysokoprocentowego alkoholu, stać się dla tych bandytów materiałem motywacyjnym (odpowiedź błyskawiczna jak strzał z biodra: Tołstoj tak, Czechow nie).

Ale są teksty rosyjskie tak mocne, tak jednorodne, że nie poddadzą się żadnej diawoliadzie ani maceracji. Po prostu są – i powinny być. Również z nami. Stale.

Nabokov. Mandelsztam. Grossmann. Błok. Pasternak. Bułhakow. Sołżenicyn. Lebediew. Babel. Władimow. Czechow. (Czechow!!!). Nie ma co: prawdziwa wolna flotylla imienia Anny Achmatowej.

Wojciech Stanisławski

O autorze: ur. w 1968 historyk, publicysta, współpracownik Muzeum Historii Polski. W latach 1997-2009 analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, tłumacz książki „Czarodziejski chór. Historia kultury rosyjskiej od Tołstoja do Sołżenicyna” Sołomona Wołkowa (Sic!, 2016). Przełożył i opracował korespondencję Jerzego Giedroycia i Michaiła Hellera, która ukazała się w 2023 r. nakładem UKSW.